Poświętne, d. 5 września1865 r.

Już to podróż mieliśmy okropną, jak zaczął padać deszcz za Warszawą, tak mieliśmy do samego Zakroczymia, a nawet kwestia, czy nie dalej. – Kiedy pojęcie przechodzi, co miałem za hece z parasolem; musiałem go trzymać na przodzie bryczki, bo z tej strony deszcz zacinał, tym sposobem za widok przez całą drogę mieliśmy tylko wcale nie poetyczne dno naszego nieszczęśliwego parasola, które jęczało pod naciskiem kropel wody gnanych silnym wiatrem od Modlina. –

Matka Twoja nie przemokła, ale ja dosłownie siedziałem w kałuży. – Fartuch od bryczki także przemókł, woda ciekła mi po nogach – za cholewy. – Dopiero w Nowym Dworze na popasie cokolwiek się osuszyłem, choć i tam przy samym już wyjeździe, gdzie tylko siadłem, zostawiałem ślad, jakoby obraz własnej figury…

Najlepszy jednak Andrzej: po godzinnym deszczu pyta się go matka Twoja: „Andrzeju, zmokliście?” – On: „Ni, proszę pani” – i było takich zapytań kilka – dopiero przy wyjeździe z popasu powiada do mnie… „A owo nie czułem, że kosiulina na mnie mokra jakby z prania.”

Szczęśliwy, on nie czuł wody przez skórę, dopóki się własnoocznie o niej nie przekonał.

Nigdy się nie spodziewał, żebyśmy dopiero na 10-tą zajechali, jednak tak było na szczęście czy nieszczęście moje, bo ledwom wyszedł na ganek, a z niego do sieni, spostrzegłem jakąś niewieścią postać szukającą czegoś w okryciach na stole.

O, myślę sobie, są goście, i myśląc, że służąca (ta, co zamiata u mnie, nie wiem, jak się nazywa) stoi przy stole, zdejmuję swój zmokły palto[t] i podaję jej, żeby powiesiła w kuchni przy ogniu. Postać odwraca się i z przerażeniem spostrzegam, żem się pomylił, zamiast Marysi (?) chciałem oddać paleto[t] jakiejś pannie, jakem się później dowiedział, pannie Mścichowskiej!

O mało tak siebie nie przekląłem jak ten młodzieniec, co to kiedyś w niestosownych słowach dał poznać jakiejś damie, że ją ograją, a później jeszcze niestosowniejszy wykrzyknik zrobił nad sobą, tak byłem zdetonowany, ale ugryzłem się w język, palto powiesiłem sam – i jakoś się wszystko zatarło.

Pobiegłem natychmiast do siebie – przebrałem się i z dobrą miną przyszedłem na herbatę, gdzie wytrząsnąłem cały zapas nowinek warszawskich przed zdumionych wieśniaków.

Uwierzysz, że najwięcej wszystkich oburzał fant dany z mieszkania wprost bernardynów i naturalnie stanąłem w obronie dawczyni twierdząc, że to podwójnie zasługuje na pochwały i cześć – raz, że dała fant, a drugi raz, że buzi. – Rozumie się, że jeśli wyciągnie jaki staruszek, co to stracił od tabaki zmysł dotykania w górnej wardze, albo jaka mężatka,

panna, wdowa, baba lub Żyd jaki, albo ktokolwiek biedny, ten może za porządne pieniądze odsprzedać taki fancik jakiemu młodemu i przystojnemu młodzianowi – stąd będzie i loteria miała złotówkę, i biedny zapomogę, i bogaty całusa. – Byłbym dalej traktat prowadził, choć rzeczywiście zaczął go Twój brat, ale już było późno, a spać mi się chciało ogniście.

Bądź tak dobry i przejdź się do rodziców moich – ja tam napisałem książki, które mi potrzebne zaraz, ale w domu może nie będą wiedzieli, gdzie ich dostać, albo nie zrozumieją, jakich potrzebuję, przyjdź więc im na pomoc z łaski swojej, za co ja Ci zapewniam wdzięczność dozgonną i dogrobną, słowem, taką, jaką się czuje dla tych, co to bez wielkich trudności robią to, o co ich się prosi.

Spodziewam się, że już dostałeś z jedną fotografię – niepodobna, aby wszystkie moje ideały były takie o siebie zazdrosne. Boję się jednak, żebyś nie zapomniał o tych, których Ci przed samym wyjazdem wspominałem…

Ogółem sztuk siedm prócz Twojej, Łąckiego i Hantowera. Do Łąckiego nie piszę teraz dlatego, że nie wiem, czy już jest w Warszawie, ale później i on będzie podobnie długie listy odbierał. – Przewiduję, że zapewne zgubił gdzie serce na piaskach lub zielonych wodach morskich.

Byłby to bardzo naturalnym.

Jak będziesz u mnie, powiedz, żeby przez konie, które przyjdą z p. Wey[h]erową, przysłano mi moje fotografie. Proś także, żeby kołnierzyków tych, które mają jeszcze zrobić, nie robiono takich wysokich jak te, które teraz mam.

Jeżeli Ci przyszlę pieniądze, to kup zaraz fotografię Łąckiego i przyszlij mi, swoją możesz dać i darmo. Hantowera jest u Sachowicza i jakkolwiek zła zupełnie – jednakowoż jeżeli powyższy warunek będzie, to ją kup także.

Przypomnij w domu także, że mi potrzebne bardzo kamizelki, żeby się pospieszyli z przysłaniem, mam obiecany także krawat krepowy czarny, srebrem haftowany na końcu, i poproś siostry mojej, żeby dotrzymała, czego obiecała, i powiedz jej, że mi pilno.

Otóż liścik porządny, a nie wiedziałem, co pisać, jak wziąłem się do tego. Pokazuje się, że dopiero gdy rozpiszę – staję się taki twórczy, ja powiedziała to p. Wey[h]er.

W tej chwili słyszę głos jakiś, Staś powiada mi, że to Dębowski, śpieszę się więc z ukończeniem listu, bo może można będzie zrobić co względem tego, co wiesz.

Dobrze, że nie zapomniałem napisać, że co się tyczy p. Mścichowskiej, to blaga, chociaż zapewne uwierzyłeś. Tak samo raz zrobiła panna Smolko: na moja rozpacz napisała do Mani R., że za mąż idzie, i dopiero na końcu listu przyznała, że nie. Zmiłujcie się, pisujcie, i to tak długo jak ja, bo to mnie będzie prawdziwie odświeżało. –

Zmiłuj się, spal ten list zaraz po przeczytaniu…

Do widzenia na Boże Narodzenie.

H. Sienkiewicz